

PRZEKŁADANIE

BRZYDKIE SŁOWA TEŻ TRZEBA ZNAĆ

Niestety, nawet w urzędowych sytuacjach padają nieprzyzwoite, czasem obraźliwe słowa, które dobry tłumacz powinien albo *in extenso* przetłumaczyć (np. w sądzie czy na policji), albo przynajmniej rozpoznać i – w sytuacjach niewymagających tłumaczenia tak dokładnego – stwierdzić, że w przekładanej wypowiedzi został użyty wulgaryzm. W innych sytuacjach brak znajomości takich słów może doprowadzić co najmniej do towarzyskiego nieporozumienia.

Zdarzyło się, że pewna szanowana i znana dzisiaj tłumaczka języka francuskiego, autorka wybitnych przekładów polskiej literatury na francuski, podczas pierwszego pobytu w Paryżu w latach swojej młodości, była świadkiem kłótni dwóch taksówkarzy. Zrozumiała, o co obu panom chodzi: chcieli zaparkować w tym samym miejscu. A kto był w Paryżu ten wie, że znalezienie miejsca do parkowania można nazwać „cudem nad Sekwaną”.

W pewnej chwili jeden z kierowców użył słowa, którego przysła tłumaczka nie знаła: *Vous êtes con!* - wykrzyknął rozsierdzony i odjechał z piskiem opon. Wróciwszy do domu, nasza bohaterka na próżno szukała słówka „con” w podręcznym słowniku Laroussa. Zadzwoiła więc o pomoc do znajomego, który powiedział: – wiesz, to takie starofrancuskie słówko, znaczy tyle co „głuptas”.

Jakiś czas potem młoda adeptka zawodu tłumacza została zaproszona na niezwykle eleganckie przyjęcie. Przy stole posadzono ją obok miłego, dystyngowanego pana. Rozmowa również była bardzo dystyngowana i miła aż do chwili, gdy nasza bohaterka postanowiła podzielić się nowo nabytą wiedzą językową ze swym interlokutorem. Nie znajdując bowiem stosownego argumentu w jakiejś kwestii, zaśmiała się uroczo i rzuciła: „*Vous êtes con*”.

Przy stole zapanowało lodowate milczenie, a dystyngowany pan się przesiadł. Zdumiona takim zachowaniem młoda dama z Polski zadzwoniła ponownie do znajomego, który mało nie pękł ze śmiechu. Wyjaśnił, że słówko, którego użyła po francusku, znaczy to samo, co jego równie krótki nieprzyzwoity odpowiednik po polsku, często wydrapywany na murach i płotach.

Justyna Bednarek

TRUP W URZĘDZIE STANU CYWILNEGO

Wydawałoby się, że nie ma nic prostszego niż przetłumaczenie kilku frazesów, jakie padają z ust urzędnika stanu cywilnego podczas uroczystości zawarcia związku małżeńskiego. Doświadczeni w takich „popisach” tłumacze wiedzą jednak, że niepoważne lub nieuważne potraktowanie tego zadania może doprowadzić do skandalu lub – co najmniej – do kompromitacji tłumacza.

Tak właśnie podszedł do swojej roli pewien tłumacz, skądinąd doświadczony i bardzo dobry, który przez sekundę stracił panowanie nad sytuacją w chwili, gdy celebrujący uroczystość urzędnik stanu cywilnego, wygłaszając znaną formułę oświadczenia woli zawarcia małżeństwa, nagle odstąpił od zwyczaju przyjętego przez swoich kolegów. Zazwyczaj bowiem urzędnik stanu cywilnego dzieli ten tekst na części zdania, a czasem nawet na oddzielne słowa, nie po to, żeby ułatwić pracę tłumaczowi, ale żeby przydać wagi wypowiedzanym słowom i zaznaczyć uroczysty charakter tego momentu.

Gdy nasz bohater-tłumacz, przyzwyczajony do „cedzenia słów”, oczekiwał właśnie, że urzędnik po słowach „przysięgam, (-) że uczynię wszystko, (-) aby małżeństwo nasze (-)” powie „było zgodne (-), trwałe (-) i szczęśliwe (-)” oddzielając trzy przymiotniki, po każdym zostawiając przerwę na tłumaczenie i powtórzenie przez pana młodego, to - ku jego zaskoczeniu - urzędnik wypowiedział tekst „jednym tchem”, bez przerwy.

Potem nastąpiła katastrofa, o której tak opowiadał swojej koleżance: „W tym momencie, nie przygotowany do zapamiętania czegokolwiek, zrobiłem rzecz najgorszą z możliwych: powiedziałem do urzędnika ‘Przepraszam, czy może pan powtórzyć?’ I natychmiast po wypowiedzeniu tych słów zdałem sobie sprawę, że w ten sposób pograżyłem się całkowicie i popsułem nieodwracalnie całą uroczystość. Gdybym wymyślił w tym momencie dowolne trzy przymiotniki i powiedział je w dowolnej kolejności, to pewnie nikt by tego nie zauważył. Świadomość własnej nieudolności i

fatalnego zakłócenia uroczystości „roboczym wtrętem” tak bardzo mnie zdeprimowała, że natychmiast po jej zakończeniu chyłkiem czmychnąłem korzystając z tego, że para młoda i goście byli zajęci składaniem życzeń. Na szczęście nie wziąłem ani grosza za ten nieudany popis.”

Aby pocieszyć zrozpaczonego kolegę, powiedziałam: „Nie martw się, stary, mogło być jeszcze gorzej. Czy wiesz że naszą wspomniała koleżankę, znaną ci z doskonałych przekładów publikowanych przez prestiżowe wydawnictwa, wyniesiono kiedyś z sali ślubów urzędu stanu cywilnego zemdloną? Potem udała, że jest ciężko chora na serce, ale mnie przyznała się, że to trema jej mało nie zabiła. Od tego czasu nigdy więcej nie próbowała publicznych popisów.” (DK)

KOMUNIKACYJNE POTKNIĘCIA

Każdy, kto podjął wysiłek przyswojenia sobie języka obcego, zagłębił się w ocean leksyki, wszedł w labirynt składni, z pewnością przynajmniej raz doświadczył „porażki komunikacyjnej”, w konfrontacji z tak zwanym „nativem”. Takie nieuniknione potknięcia czy nieporozumienia po latach wspominamy z rozbawieniem i wspomnienia te stanowią miłą okrasę dla długich i poważnych dysput językoznawczych czy translatorskich.

Jako nastolatka po raz pierwszy wybrałam się z wizytą do wuja zamieszkałego w Paryżu. Miałam za sobą trzy lata nauki francuskiego, więc wydawało mi się, że mowa Prousta nie ma już dla mnie tajemnic. Pewnego dnia, podczas spaceru po Montmartrze, zaczął mnie jakiś chłopak i z miłym uśmiechem o coś zapytał. O co? Zrozumiałam „vache” – czyli krowa, i „rit” – czyli śmieje się. Szybko skojarzyłam to ze znaną marką serków topionych „La vache qui rit” (co zostało zgrabnie przetłumaczone na polski, jako „Krówka śmieszka”). Pomyślałam – do dziś nie wiem, czemu – że młodzian pyta mnie właśnie o ten ser. Nabrałam powietrza i płynnie odpowiedziałam: „Niestety, proszę pana, nie mam sera”. Popatrzył dziwnie, wzruszył ramionami i poszedł sobie. Przez dłuższą chwilę głowiłam się, o co mu mogło chodzić. Wreszcie mnie olśniło! On powiedział po prostu „Ça va, chérie?”, czyli „Jak leci, kochana”. No cóż.. Kto wie, co by było, gdybym go zrozumiała. Być może, przez niedostateczną praktyczną znajomość języka przegapiłam jakieś wielkie szczęście. Bardziej jest jednak prawdopodobne, że nawet gdybym właściwie zinterpretowała jego intencje, odpowiedziałabym to samo... „Hélas, monsieur, je n’ai pas de fromage”...

Justyna Bednarek

Zachęcamy czytelników Lingua Legis do dzielenia się z nami swoimi „doświadczeniami językowymi” – wszystkie zabawne anegdoty z przyjemnością opublikujemy na łamach pisma.